

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Gdzie dyabeł nie może... — Borowska i Barbara Ubryk. — Zajęcie się polityką i jego skutki. — Zamieszki w Persyi i ich odbicie się na naszej skórze. — Hiszpanie w gościnie u Kabyłów. — Upadek p. Clémenceau. — Tryumfy awiatyki. — Panika w Anglii. — Nowy wynalazek ku irytacji Szwabów. — Co zresztą słyszeć w Krakowie. — Moja podróż i powrót).

Słusznie zupełnie powiada stare przysłowie, że gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle. W ubiegłym tygodniu, który był właściwie pierwszym, a kto wie, czy i nie ostatnim pod znakiem kanikuły, monotonię przerwały nam dwie niewiasty, jedna żywa, druga już nieboszczka i wytrąciły Kraków z wakacyjnej równowagi. Pierwszą z nich, żyjącą, choć zamkniętą za kratami była pani Borowska, która przypominała się światu, raniąc się w rękę przez nieostrożność lub też chcąc popełnić samobójstwo. Która z wieści jest prawdziwa, tego twierdzić nie mogę, wiadomości bowiem, podawane przez pisma codzienne, są tak bałamutne, że trudno wybrać między niemi jakąś, na którąby się wszystkie organa prasy zgodziły. Najwiarogodniejszą wydaje się jeszcze wiadomość, iż Borowska zraniła się dobrowolnie, aby w ten sposób pozbyć się dozorczyń, z którą nie sympatyzuje. Ponieważ w młodych latach poświęcałem się z zamiłowaniem studiom nad damskimi usposobieniami, wiem, że dwie niewiasty, jeśli się milują, to z całego serca, jeśli się zaś nie kochają, to też z całej duszy. Pani Borowska chciała też pewnej odmiany. Z dotychczasową towarzyszką niedoli nagadała się już do syta i brakło im zapewne materyału, użyła więc może znowu drastycznego środka, ale przecież postawiła na swoim.

Drugą sensacją, spowodowaną przez osobnik rodzaju żeńskiego, ale już od lat kilkunastu spoczywający w cieniu drzew rakowickiego cmentarza, była t. zw. „Zbrodnia w klasztorze za dwa centy“. Zaczisne wnętrza krakowskich knajpek, w których słomiani wdowcy marzyli o przyjemnościach bodaj chwilowej rozłąki z czcigodną połowicą, rozlegały się od wyżej przytoczonych okrzyków rozmaitych obszarpanych kolporterów, którzy w ostatnich czasach rozmnożyli się w Krakowie z przerażającą szybkością, niczem grzyby po deszczu. Przy tej sposobności pozwolę sobie jednak zaznaczyć, iż pomimo deszczu grzybów mamy w bieżącym roku bardzo mało, kolporterów zaś bez deszczu za dużo. Wracając jednak do owej zbrodni za dwa centy, gdy usłyszałem tak przerażające nawoływania kolportera, aż resztką włosów stanęła mi dęba na tyścinie. Byłem pewny, że stało się znowu w Krakowie coś strasznego, coś, co da znowu sposobność niemieckim pismom do wytknięcia nam naszego azyatyckiego barbarzyństwa. Kupiłem więc ową gazetę za dwa centy, lecz ku pocieszeniu mego serca dowiedziałem się, iż owa zbrodnia spełniona została w Krakowie przed laty czterdziestu, a ofiarą jej padła s. p. Barbara Ubryk, którą z powodu prawdopodobnie umysłowej choroby odosobniono w celi klasztornej. Postąpiono z nią, co prawda, po barbarzyńsku, nad tą sprawą przeszliśmy jednak już dawno do porządku dziennego a osoby, biorące w niej udział, spoczywają już dawno snem wiecznym.

Pomysł wydawniczy był, co prawda, wcale udatny, część Krakowian oburzała się jednak, iż nie powinno się poruszać tak niemiłych spraw, przykrytych już pyłem zapomnienia. Ja, co się tyczy mojej osoby, nie podzielam tego uczucia, owszem, chwałę redakcyę owej gazety, iż zamiast węzów morskich, które są przecież zagranicznego pochodzenia, popiera przemysł krajowy i to w czasie takiego dziennikarskiego bezrybia, jakim jest każdoroczny sezon ogórkowy.

Z drugiej jednakże strony przyznać trzeba, że właściwie obecnie na kanikule narzekać nie możemy, gdyż ani nie jest zbyt gorąco i nie brakuje wcale spraw, które mogą zająć umysły nawet słomianych wdowców. Wiadomo powszechnie, iż najważniejszym powodem i przyczyną wszelakich wykroczeń i brzydkich czynów jest beczynność. Człowiek, nie mający nic do roboty, myśli tylko o tem, aby coś, jak to powiadają, „zmalować“, czego potem nieraz żałuje, ale w danej chwili od tego wstrzymać się nie potrafi. Nasze żony, opuszczając nas na czas wakacyjny i rzucając na pastwę owej letniej beczynności, truchlały na samą myśl, czego to się od zaufanych przyjaciółek i stróżek dowiedzą o swych tyranach, gdy we wrześniu powrócą do Krakowa. Tymczasem stało się inaczej, o głupstwach ani myśli, mamy dość zajęcia umysłowego pod postacią wiadomości, biegnących z zagranicy, byśmy popelnili coś takiego, co sprzeciwiłoby się przykazaniom boskim, kościelnym lub małżeńskim. Niech więc pocieszą się nasze czcigodne połowice, po powrocie

z wód, czy świeżego powietrza, zastaną nas takich samych, jak zostawiły, ba nawet w lepszym stanie, bo wypoczętych; o tem, co one nazywają „głupstwami“, nie mamy nawet czasu myśleć.

Polityka wewnętrzna z powodu wakacyjnego zastoju przestała nas absolutnie zajmować. Panowie posłowie rozjechali się bez dyet na świeże powietrze, blagują swym wyborcom, co to oni chcieli zdziałać, ale im nie pozwolono i obiecują, jak zwykle, złote góry, czemu naturalnie nikt nie wierzy. Natomiast w zagranicznych sprawach nie znać wcale spokoju wakacyjnego. Turcyja i Grecyja kiwają sobie ciągle palcem w bucie z powodu Krety, obiecują raz wziąć się za łby, to znowu się godzą — nas to jednak mało obchodzi, jakkolwiek bowiem będzie, Austria chyba nie zapłaci już żadnego odszkodowania.

Daleko gorzej jest w Persyi, gdzie były szach wbrew swej woli podzielił losy Abdul Hamida i przeniósł się w dobrze zasłużony stan spoczynku. Persya znowu jest jednak od nas oddalona, abyśmy mieli na naszej skórze odczuć tamtejsze wypadki, co najwyżej nasi panowie aptekarze i drogiści skorzystają ze sposobności i podniosą ceny proszku perskiego, który cieszy się takim odbytem właśnie w czasie wakacyjnym. Ponieważ jednak u nas wszystko drożeje, oswoimy się wnet i z tem także. Będziemy może mniej kupować tego dobroczynnego leku, co znowu spotka się z uznaniem i pochwałą Towarzystwa opieki nad zwierzętami. Czy na tronie szachów siedzi Mahomet czy Achmed mirza, naszym szachistom, pomimo gorącą uprawiającym z zapalem ten szlachetny sport, wszystko jedno.

Natomiast współczucie towarzyszy Hiszpanom, którzy niepotrzebnie zupełnie zabrali się do skóry Kabyłów, a tymczasem gotowi sami oberwać coś takiego, czego sobie nie życzą. W całym kraju odzywa się niezadowolenie i grozi nawet wybuch ogólnego bezrobocia, lecz i to, miejmy nadzieję, przejdzie, Hiszpanie znowu się uspokoją i będą mogli delektować się walkami byków i konspiracyjami anarchistycznymi. W sąsiedztwie, za Pirenejami, upadł gabinet Clémenceau'a, a jego miejsce zajął p. Briand, niegdyś francuski Daszyński. Zmiana gabinetu przeszła bez ogólniejszego zajęcia się tą sprawą, gdyż w tym właśnie czasie umysły Francuzów zwrócone były w stronę kanału La Manche, gdzie odbywały się próby żeglugi napowietrznej między Francją i Anglią. Pierwsza próba, przedsięwzięta przez Lathama, nie powiodła się, skutkiem zepsucia się motoru, druga natomiast okryła laurem Bleriota, który szczęśliwie wylądował na terytorium zjednoczonego królestwa. Tryumf awiatyki wspaniał, ale również ważny powód zaniepokojenia dla Anglików. Manifestacja ich floty u ujścia Tamizy przejęła serca angielskiego ludu radością, że przecież są zabezpieczeni przed inwazją pruską, udało przepłynięcie kanału w powietrzu przejęło ich strachem. Co bowiem warta choćby najpotężniejsza flota, jeśli np. pewnego pięknego poranku pan Zeppelin siądzie na swego napowietrznego rumaka i posteruje za przykładem p. Bleriota nad Tamizę, zabrawszy ze sobą szkatułkę z bombami? Jedna pigułka, rzucona z wysokości kilku tysięcy stóp, wystarczy, aby taki sobie apokaliptyczny smok, nazwany Dreadnoughtem, pożeglował w głębiny. Suszą więc głowy mężowie stanu, w jaki sposób obronić się przed nieproszonym gościem.

Jeden z moich znajomych, znakomity poeta, dramaturg i wynalazca, opracowuje, korzystając z wakacji, wspaniały pomysł obrony Anglii i jej pancerników przed niebezpieczeństwem, grożącym z góry, i w tym celu już w tych dniach wybiera się do Londynu, aby parlamentowi przedłożyć swój wynalazek. Ma to być ogromny pancerny parasol, rozpostarty nad wielką Brytanią i Irlandią, a zaopatrzony na brzegach armatami, z których możnaby strzelać do balonów. Koniec środkowego kija zajmie ogromny konduktor, aby uchronić cały kraj od piorunów. Tego samego rodzaju, tylko nieco mniejsze „bombochrony“, otrzymają angielskie pancerniki, zaopatrzy się w nie także i żołnierzy. Im który piastuje wyższą rangę, tem też większy będzie mógł nosić „bombochron“. Spodziewać się należy, iż wynalazek naszego rodaka przyjęty będzie z entuzjazmem przez Anglików, a zirytuje Niemców, którzy już ostrzyli sobie zęby na angielskie dzierżawy. Wobec tego król Edward będzie mógł spokojnie wyjechać do Maryenbadu, gdzie nań już niecierpliwie oczekują... a Zeppelin pożegluje do bieguna północnego i zajmie go w imieniu Rzeszy, czem wstawi początek rządów nowego kanclerza p. Bethmana-Hollwega i raz już zdobędzie mitrę książęcą, którą dlań władca przygotował.

Ta skromna wiązanka kwiatów, uszczekniętych na niwie polityki zagranicznej, jest tylko drobną

częścią wiadomości, jakie codziennie nadchodzą i zajmują opinię publiczną. Ponieważ zaś każdy przeciętny Krakowianin jest z urodzenia politykiem, szczególnie przy „bombe“ zastanawiającym się nad biegiem światowych wypadków i zmieniającym dowolnie kartę Europy, nie też dziwnego, że zapomina o wszystkim, a debatuje z przyjaciółmi nad losami świata, co tak mu czas zajmuje, iż o werność jego każda małżonka może być zupełnie spokojną. Owo zaciętrzewienie polityczne jest też przyczyną, że operetka lwowska nie cieszy się taką frekwencją jak w ubiegłych latach, natomiast odgadywacz myśli w Parku krakowskim p. Bellini zadziwia coraz szersze sfery, radeby widzieć go ministrem spraw zagranicznych. Przy swych zdolnościach oddałby on państwu niepomierne usługi, zgadując, co myśli które stronnictwo lub sprzymierzeńcy. Podobno cesarz Wilhelm zwrócił już nań swą uwagę i zamysla zaangażować go do swego politycznego Varieté, z którym ma zamiar objeżdżać całą Europę.

Wreszcie koniec kroniki poświęcić muszę towarzyszącemu niedoli, słomianym wdowcom, by pocieszyć ich w osamotnieniu. Wiedziony uczuciem ludzkości, skorzystałem z kilku pogodnych dni, jakie mieliśmy w ubiegłym tygodniu i zabezpieczwszy się od wypadku i powierzwszy swe grzeszne cielsko opiece Opatrzności, siadłem do wagonu, który miał mnie unieść w stronę naszych uzdrowisk. Przed wyjazdem sporządziłem naturalnie testament, przeznaczając wszelkie ruchomości mojej czcigodnej magnifice, a długi wierzytelom. Zakląłem ją, by w razie wypadku, nie czekając końca żałoby, wstąpiła po wtórnie w związki małżeńskie, bo wtedy przynajmniej mój następca będzie mnie szczerze opłakiwał. Nie ziściły się przeczucia, do Zakopanego dojechałem szczęśliwie, choć jak zwykle ze spóźnieniem. Tu skonstatowałem, że automobilów dużo a gości stosunkowo mało, przeważają zaś rasy wschodnie, co bardzo pochlebnie świadczy o zajęciu się światu naszym uzdrowiskiem. Panie bawią się doskonale. Z Zakopanego pomknąłem do Krynicy, dziś jednak żałuję tej drogi. Płci pięknej takie tu zatrzęsienie, iż bojąc się, bym nie zламаł złóżonej przed żoną przysięgi, na rekolekcyje dmuchnąłem między suchotników do Szczawnicy. Nieszczęście ściagało mnie jednak w drodze! I tu napotkałem wcale pokązaną liczbę uroczych kuracyuszek (chorych na serce), nie ufając więc swej męskiej stałości, powróciłem do Krakowa, aby słomianych wdowców zapewnić, iż i zdala od nich, połowice ich są zdrowe, wesole i bawią się doskonale!

X.

Z kolei. Z powodu przepehnienia pociągu pospiesznego Nr. 3, odchodzącego z Krakowa o 6:43 rano, zaprowadza się z dniem 25 lipca br. aż do 15 września br. pociąg pospieszny Nr. 103 przez przedłużenie biegu tego pociągu, kursującego dotychczas tylko z Wiednia do Krakowa (odjazd z Wiednia 9:10 wieczór, przyjazd do Krakowa 5:53 rano) aż po Lwów. Wskutek tego podróży, jadący pociągiem Nr. 103 z Wiednia po za Kraków, nie potrzebują nigdzie przesiadać.

Do pociągu Nr. 103 dodaje się w Krakowie wagon restauracyjny.

Z powodu stałego przepehnienia pociągu Nr. 3, zaleca się publiczności, chcącej wygodnie podróżować, przedewszystkiem posługiwanie się pociągiem Nr. 103.

Pociąg ten odchodzi z Krakowa o 6:05, z Podgórze-Płaszowa o 6:12, z Tarnowa o 7:40, z Rzeszowa o 9:37, z Przemyśla o 11:22, a do Lwowa przychodzi o 1:20 popołudniu.

Wśród drzew szpilkowych pierwszorzędną
KAWIARNIA J. BISANZA
w Krakowie, przy ul. Dunajewskiego 1, parter.

